

# Lucyna Łobos

---

## Czas ucieka a nie czeka

---

Przegląd Pruszkowski nr spec., 151-157

---

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## LUCYNA ŁOBOS

### **Nauczycielka – pracownik biblioteki**

[Pani Lucyna Łobos skończyła polonistykę. Kochała książki i czuła się wśród nich dobrze. Młodość lubiła bibliotekę, ponieważ wiedziała, że czekają tam na nich nie tylko książki, ale i osoba, która podziela ich pasję do literatury, potrafi doradzić przy wyborze lektury – zawsze życzliwa dla uczniów – I.H.]

### CZAS UCIEKA A NIE CZEKA

Nie do wiary, że minęło ponad 40 lat, gdy po raz pierwszy przekroczyłam progi gmachu przy ul. Daszyńskiego 6 w Pruszkowie. Pani Dyrektor Maria Wójcik na mój widok zawołała: „Po co pani przyjechała do Pruszkowa, czy pani wie, jacy tu wredni ludzie?!” [nigdy nie słyszałam takich opinii o mieszkańcach Pruszkowa od Marii, a znałam ją wiele lat – I.H.] No cóż, wtedy jeszcze nie wiedziałam a miasto wybrałam świadomie zapisując się do Pruszkowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Po studiach na UW pracowałam w Warszawie, ale Stolica była miastem zamkniętym, na zameldowanie i mieszkanie mogli liczyć tylko dobrze zasłużeni. Miałam dosyć dojazdów do pracy, lubiłam chodzić pieszo, ale nie było wolnego etatu dla polonisty, ba, w ogóle nie było pracy w Pruszkowie i okolicy, szczęśliwie zwolnił się etat w bibliotece LO im. T. Zana.

Był rok 1972, Liceum w okresie rozkwitu. Właśnie odszedł na emeryturę dyrektor Gilewicz, wspaniały pedagog i wzorowy gospodarz, miałam szczęście z Nim się zaprzyjaźnić, bo jeszcze uczył jakiegoś przedmiotu, a gdy zabrakło godzin, odwiedzał swoją ukochaną Szkołę. Wkrótce wraz z żoną przeprowadził się do córki

w Legionowie, gdzie zginął śmiercią tragiczną (potracony przez samochód). Były wakacje, tylko delegacja pożegnała wieloletniego nauczyciela i dyrektora Szkoły.

Zdążyłam poznać kilku wspaniałych przedwojennych pedagogów, którzy już byli na emeryturze. Niektórzy przychodzili na niedrogie a bardzo dobre obiady do szkolnej stołówki. Byli wśród nich: zasłużony dyrektor Leon Ostrowski i jego żona, legendarna polonistka, którzy mieszkali przy równoległej ulicy do Klonowej (obecnie Daszyńskiego) – Cedrowej (obecnie Obrońców Pokoju) i do Szkoły przechodzili tylko przez furtkę. Pan Prusak, utalentowany malarz, mieszkał gdzieś na Żbikowie, przyjeżdżał autobusem, musiał czekać na obiad, toteż mogłam z Nim porozmawiać. Zajęcia z plastyki w tym czasie prowadziła młoda Krysia Wasiluk, kochająca młodzież nauczycielka i znakomita artystka – plastyczka, późniejsza dyrektorka Młodzieżowego Domu Kultury.

Najbardziej zaprzyjaźniłam się z panią Zofią Włoczewską, która pochodziła z Suwałk, a więc z mojej rodzinnej Ziemi. W Pruszkowie nie miała rodziny, mieszkała na Żbikowie w prymitywnych warunkach, powtarzała, że żyje dzięki tym kapitalistom, co z Francji przysyłają Jej rentę po Bracie, bo z emerytury tzw. starego portfela nie można było wyżyć. Pani Włoczewska, przedwojenna polonistka, doskonale знаła język rosyjski i niemiecki, toteż uczyła tych języków. Pod koniec życia zaopiekowali się Nią wspaniali ludzie, bodajże Serokowie, u których mieszkała w bardzo dobrych warunkach – pochowana została na Cmentarzu Żbikowskim.

Poznałam też panią Marię Anterszlak, wspaniałą nauczycielkę historii. Ona to pokazała mi podręcznik dla klasy dziesiątej uczniów szkoły w Związku Radzieckim. Napisane w nim było czarne na białym, że pod Grunwaldem „wielikuju pabiedu” odniosły wojska ruskie, białoruskie i litewskie. Polaków tam wcale nie było!!!

Bratowa M. Anterszlak, Żenia, wzorowo prowadziła sekretariat Liceum, była niezwykle pracowita i skrupulatna. Szczególnie dbała o dokumentację, o szkolne archiwum, mieszczące się w ciasnym

pokoiku na strychu, o dobre imię Szkoły. Była bardzo lubiana przez nauczycieli i uczniów.

W latach siedemdziesiątych łaciny uczył prawdziwy humanista, uwielbiany przez młodzież prof. Gralewicz, który wkrótce odszedł na emeryturę. Już na emeryturze była długoletnia nauczycielka matematyki, p. Bronisława Bacia. Mieszkała samotnie, toteż miałam przyjemność odwiedzić ją parokrotnie, Szkoła nie zapominała o emerytach, byli oni odwiedzani przez młodzież i nauczycieli a także zapraszani na szkolne uroczystości. Pani Baciowa chętnie przybywała do Szkoły, w której matematyki uczyli w tym czasie Bogumił Retkowski i Marysia Orzechowska. Dzieci B. Retkowskiego ukończyły Liceum im. T.Zana. Pamiętam Halinę jako wybitną polonistkę, później absolwentkę Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego i bardzo dobrą dziennikarkę. Jej młodszy brat, Mirek, zginął tragicznie w młodym wieku, co było wielkim ciosem dla całej rodziny i wstrząsem dla mnie osobiście.

Sympatycznie wspominam Włodka Wojkowskiego, który zmuszony był uczyć języka rosyjskiego a z prawdziwą pasją prowadził Harcerstwo. Obozy wodniackie drużyny „Hańcza” były dla młodzieży niezapomnianym przeżyciem. Po odejściu Włodka z Liceum jako druga rusycystka obok Jadzi Widurskiej przybyła Weronika Hasik. Tym, których ona uczyła, można tylko pozazdrościć! Niestety, gdy zmniejszyła się liczba klas, dla Wery zabrakło godzin na cały etat. Uczniowie stracili doskonałą nauczycielkę, prawdziwą pasjonatkę, całym sercem oddaną szkole i młodzieży.

Do nauczania języka angielskiego pani dyrektor Wójcik zaangażowała Jolanę Kutnicką. Jola wyróżniała się tym, że zawsze się śpieszyła, do pokoju nauczycielskiego wpadała tylko, by zmienić dziennik lekcyjny, przerwy spędzała w swojej pracowni na trzecim piętrze, zostawała po lekcjach, nie żałowała czasu ani sił dla swoich uczniów. Była nie tylko nauczycielką ale i całym sercem oddaną wychowawczynią, Jej uczniowie wiedzieli, że w każdej chwili mogą przyjść do Niej z jakimś życiowym problemem, że

zawsze mogą liczyć na pomoc i dyskrecję. Jola nie tylko uczyła języka angielskiego, była pasjonatką sztuki i turystyki, a swoją pasją зараżała młodzież.

Liceum Zana „stało” wówczas humanistyką. Języka polskiego uczyły: doświadczona nauczycielka, Halina Bazarewska, wówczas sekretarz POP, młoda absolwentka naszej Szkoły, Krysia Woźniak, której pani Dyrektor powierzyła prowadzenie Kroniki oraz Grażyna Kuczko. Grażyna, pochodząca z Sokółki k. Białegostoku, była niesłychanie ambitna. Angażowała się całym sercem i duszą, z pasją urzędowała pracownię polonistyczną, wymagała wiele i wiele z siebie dawała. To głównie jej zasługa, że Liceum im. T. Zana słynęło z wysokiego poziomu języka polskiego, że powstały klasy typu humanistycznego. Jej uczennice nie miały sobie równych w konkursach recytatorskich, a szkolne uroczystości uprzyjemniał „kabarecik”. Grażyna zawsze głosiła: „Nasza młodzież jest najlepsza!”. Tego samego zdania byli też inni nauczyciele, a przede wszystkim pani Irena Horban, szczęśliwie zwerbowana przez dyr. Wójcik do nauczania historii. Irenka uczyła historii prawdziwej, w tych czasach, gdy panowało powszechne zakłamanie. Zakochana w swoim rodzinnym mieście, organizowała corocznie konkursy wiedzy o Pruszkowie, mnie także zaraziła miłością do Pruszkowa. Razem z dyr. Wójcik stanowiły znakomity duet. Obie absolwentki Liceum im. T. Zana, obie miłośniczki młodzieży, urzędowały pracownię historyczną i Izbę Pamięci. Marzeniem ich było upamiętnienie poległych za Ojczyznę Absolwentów Szkoły.

Miałam szczęście pracować z panią Wandą Bochyńską, przedwojenną polonistką, absolwentką Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Od niej to słyszałam często bolesne westchnienie: „Ach, Orleńta Lwowscy...” a ja, chociaż byłam mocna w historii, znałam na pamięć wszystko, co było napisane w podręcznikach szkolnych i uniwersyteckich, nie rozumiałam, o czym pani Wanda mówi... No cóż, historii w szkole uczyłam się z podręczników radzieckich „uczonych” Jefimowa i Gałkina, potem Stefana Kieniewicza, a historia

w ogóle kończyła się na Rewolucji Październikowej. Na Uniwersytecie natomiast okres międzywojenny zgłębiałam z książki Adama Próchnika, członka Komunistycznej Partii Polski.

Pani Bochyńska była żoną lekarza, który w okresie okupacji zmarł, ponieważ zaraził się od pacjenta śmiertelną chorobą. Samotnie wychowywała trzech synów (wszyscy trzej to absolwenci Zana, którymi Szkoła może się chlubić). Po wojnie oprócz lekcji języka polskiego prowadziła także bibliotekę szkolną, którą zorganizowała od podstaw, księgi inwentarzowe pierwszych prawie 10 000 egzemplarzy są zapisane Jej pięknym pismem. Angażowała do pomocy swoich Synów a dodatek za tę gigantyczną pracę był symboliczny. Nie była członkiem PZPR, w dodatku Jej Brat został zamordowany w Katyniu, toteż nie miała silnej pozycji w Szkole. O śmierci Brata pani Wandzia dowiedziała się z niemieckiej „gądzinówki”, jak mi powiedziała.

Już w końcu lat osiemdziesiątych zorganizowałam spotkanie młodzieży ze Zbyszkiem Jerzyną, absolwentem Szkoły, poetą, którego wiersze drukowane były w podręcznikach szkolnych. Ze wzruszeniem wspominam spotkanie p. Bochyńskiej ze Zbyszkiem, który był Jej uczniem. A ja zetknęłam się z Nim na Polonistyce UW. Był wówczas młodym poetą, ale już miał wieczory poetyckie w „Harendzie”. Budził sympatię już na pierwszy rzut oka: szczupły, skromnie ubrany jak my wszyscy, grzeczny, nieśmiały, rumienił się jak panienka. No cóż, na Polonistyce wówczas studiowało wielu przyszłych pisarzy i dziennikarzy, a spośród znanych mi absolwentów LO im. T. Zana – Sławek Kryśka i Wojtek Młynarski. Kochali oni literaturę ale na ogół nie cierpieli nauki o języku. Zbyszek, wywołany do odpowiedzi przez docent Kurkowską, wstawał, pięknie się kłaniał i... siadał bez słowa, a niezapomniana późniejsza pani Profesor wołała: „Chylę czoło przed poetami!”

Spośród kadry pedagogicznej Liceum nie mogę pominąć pani Marii Świtajskiej, która mi przekazała wiele życiowych mądrości, wpoila zasadę, by każdą pracę wykonywać porządnie i nie

odkładać na jutro, bo nie wiadomo, czy jutro będziemy żyli. Nie sposób też nie wspomnieć o nauczycielach wychowania fizycznego, p. Marii Złоторzyńskiej i Bronisławie Siemdaju. W tym czasie młodzież Liceum odnosiła prawdziwe sukcesy w sporcie, zwłaszcza w koszykówce. Szkoła właściwie nie miała boiska ani dobrej sali gimnastycznej, wypożyczała salę w Szkole Podstawowej im. Wł. Broniewskiego, ponadto młodzież odbywała zajęcia na „Zniczu” ale nikt nie narzekał, że trzeba chodzić tak daleko.

No cóż, czasami trzeba było pożegnać na zawsze dawnych Profesorów... W pogrzebach uczestniczyły liczne grupy młodzieży i absolwentów, oczywiście, ze sztandarem. Nie obyło się nieraz bez awantury, gdy młodzież ze sztandarem wkroczyła do kościoła, by czuć przy trumnie. Komitet Miejski PZPR „rozliczał” wówczas panią Dyrektor, a ona zalewała się łzami... Najboleśniejszym przeżyciem była śmierć Marysi Pańków, nauczycielki fizyki. Była piękna, elegancka, mądra i młoda, zmarła na raka płuc w wieku 39 lat



**Profesor Maria Pańków**

w styczniu 1979 r. Nigdy nie paliła papierosów, nie miała żadnych nałogów. Osierociła córkę, Anię, która wówczas była uczennicą ósmej klasy Szkoły Podstawowej nr 11. Ania ukończyła nasze Liceum, po czym wstąpiła na Wydział Historii Uniwersytetu Warszawskiego.

Pod koniec lat siedemdziesiątych zaczął się stopniowy upadek Liceum im. T. Zana. Władze hołubiły Liceum im. T. Kościuszki, które powstało w miejsce dziesięciolatki, szkoły TPD, z założenia świeckiej, laickiej. Tam kształciły się dzieci pruszkowskich „bonzów”, a zatem i pieniądze „szły” na rozwój tej szkoły. Starzy Pruszkowianie woleli zasłużone Liceum T. Zana, w którym kadra pedagogiczna miała opinię „klerykałów”. Nasza młodzież pochodziła w większości z rodzin niezamożnych, których dzieci były skromne, grzeczne, pracowite, a przede wszystkim chciały się uczyć. Nie

było żadnych ekscesów, nie było kłopotów wychowawczych. Tę młodzież naprawdę można było kochać, i ja, prawdę mówiąc, dzięki niej przetrwałam te straszliwe lata, gdy odeszła na emeryturę pani Wójcik a zanim Liceum objęła p. Krystyna Szydłak. Do mnie i do wielu innych koleżanek i kolegów nauczycieli można odnieść słowa „Piosenki o moskiewskim metrze” W. Młynarskiego:

*Porządek taki świat zawsze znał,  
Gdy stoisz z prawej, będziesz stał,  
A gdy w przód chcesz iść, pamiętaj, że  
Masz lewej strony trzymać się.*

No cóż, trzymałam się twardo strony prawej i tak jest do dzisiaj...

We wspomnieniu swym pragnęłam przywołać pamięć niektórych nauczycieli, w większości już nieżyjących, ale najważniejsi byli dla mnie uczniowie. Zostałam nauczycielką, ponieważ bardzo kochałam dzieci i młodzież. W nieustannych utarczkach z panem Dyrektorem na groźby z wysuniętym palcem odpowiadałam: „Pana nie będzie i mnie nie będzie, a Szkoła pozostanie i ja będę robić tak jak jest dobrze, jak być powinno”. A Uczniom, którzy się wyżalali nieraz z płaczem, mówiłam: „Śmiejmy się, tylko śmiech może nas uratować”, no i tak przetrwaliśmy najgorsze lata, aż do zmiany Dyrekcji w r. 1987.

Dzisiaj tęsknię za swoimi Uczniami. Pamiętam tylko niektóre nazwiska: Steni Grodzickiej, Bożenki Stempniewskiej, Ewy Szyderskiej, Joasi Rogozińskiej, Gosi Pacheckiej, Jacka Pawłowskiego, Krzysia Rymuzy, Kasi Szulc, Maćka Nawrockiego, Marcina Zaborskiego, Tomka Miłka, Krzysia Kawczyńskiego i Jego siostry, Ewy, Moniki Kalbarczyk i Jej przyjaciółki, Marysi, a mam przed oczami i w sercu wszystkich swoich bibliotecznych „łączników” i pomocników, skupionych w „Kole Miłośników Książek”, wszystkich Zaniaków. Od dawna nic mnie nie łączy z Liceum im. Tomasza Zana poza wspomnieniami i poza sercem, bo, parafrazując słowa Adama Mickiewicza, zostawiłam tam cząstkę swej duszy.